

*Tadeusz Petrowicz*

## OPOWIEŚCI LEŚNICZEGO DARUŚ\*

Pozycja leśniczego w małej mieścinie nakładała na mnie różne obowiązki społeczne, w związku z czym byłem przez pewien czas prezesem MK ZSL, członkiem PMRN w Muszynie, ławnikiem w sądzie, przewodniczącym Komisji Leśno-Rolnej, prezesem Związku Zawodowego Leśników i już nie pamiętam, ile jeszcze funkcji pełniłem. Do tego zacząłem uzupełniać moje kwalifikacje zawodowe, odrabiając wojenne zaległości.

Mimo że byłem zapracowany po uszy, czułem się szczęśliwy. Pracę swoją lubiłem i chociaż było jej dużo, zawsze znalazłem jakąś lukę na mały wypad po łowiecką przygodę.

W tym czasie miałem dwa psy – Basiora i Darusia. Pierwszego dostałem od kolegi Rompały, leśniczego lasów niepaństwowych, w rozliczeniu za sprzedany mu płaszcz, jako że kolega był mocno trunkowy i nigdy nie miał pieniędzy, drugiego kupiłem, kiedy miał osiem miesięcy. Daruś pochodził z dobrej hodowli inż. Witowskiego, a Cesia, która go od szczeniaka wychowała, zapewniała, że jest bardzo ostry, w związku z czym na pewno będzie dobrym psem myśliwskim. Zgodę zawarliśmy szybko. Miał kosztować sąg opału bukowego z dostawą do domu i wieczorem miałem go zabrać.

Kłopot z Darusiem zaczął się dopiero wieczorem. Kiedy wszedłem do mieszkania rodziców Cesi, zorientowałem się, obserwując domowników, że atmosfera w domu jest jakaś sztuczna. Przyjęto mnie wprawdzie bardzo serdecznie, ale nie tak serdecznie, jak wita się dobrego i żytego z domem znajomego. Na pytania, co się u was dzieje i czy macie jakieś kłopoty, zapewniono mnie, że wszystko jest w porządku i że chyba mi się coś przewidziało. Matka szybko podała kolację, bo dom był gościnny, ale o psie jakoś nie było mowy. Odczekałem trochę i dopiero po kolacji zapytałem, gdzie jest ten zły pies, co to go dzisiaj od Cesi kupiłem, i poprosiłem, żeby mi Darusia pokazali. Wprawdzie widziałem go z daleka kilka razy, ale nie przyglądałem mu się dobrze. Teraz, kiedy miałem go zabrać, chciałem mu się przypatrzeć.

Ledwie to powiedziałem, zerwała się od stołu najpierw Cesia, a potem mama i pędem pognały do pokoju, skąd za chwilę usłyszałem piękny duet buczeń i pochlipywań. Stary Bukowski też miał głupią minę. Jakoś dziwnie chrząkał i kręcił się na krześle. Teraz dopiero zrozumiałem, ci ich męczyło. Po prostu żal im było swojego wychowanka i chociaż oni płakali, mnie zrobiło się wesoło. Uspokajałem domowników jak mogłem, tłumaczy-

---

\* Prezentowane opowiadanie jest fragmentem rozdziału „Blaski i cienie kariery młodego leśnika. Przeprowadzka i Daruś” z książki Tadeusza Petrowicza *Od Czarnohory do Lublina*, Wyd. UMCS, Lublin 2002. Tytuł opowiadania pochodzi od redakcji „Almanachu Muszyny”.

łem, że przecież ja tego psiaka nie muszę brać i nie rozumiem, dlaczego zdecydowali się go sprzedać, kiedy go tak lubią. Już miałem zamiar zrezygnować z kupna, ale zatrzymał mnie Bukowski. Prosił, ażebym nie odchodził i że on zaraz wszystko mi wyjaśni.

Okazało się, że pomimo wielkiego przywiązania do szczeniaka muszą się z nim rozstać. Szczeniak był pięknym airedale terierem i trafił do ich domu jako prezent, który otrzymała Cesia. Dlatego, że był darowany, nosił imię Daruś. Wszyscy domownicy bardzo polubili małego, któremu z kędzierzawych kudłów czernił się tylko nosek i wesoło błyszczące jak dwa koraliki oczka. Szybko zawojował całą rodzinę Bukowskich, a mama i Cesia rozpieszczały go i na wszystko mu pozwalały. Rósł szybko, ale w miarę dorastania pokazało się, że pies uznaje tylko domowników, a na obcych patrzy wilkiem i przy próbie głaskania warczy. Dopóki był mały, nikt nie zwracał na to uwagi, ale teraz stał się postrachem sąsiadów, którzy początkowo delikatnie, a potem stanowczo radzili sprawić psu budę i łańcuch.

Rosły konflikty sąsiedzkie, gospodarzom żal było wiązać psa i w końcu stwierdzili, że nie mają warunków na to, ażeby Darusia dalej trzymać. W domu odbyła się narada, na której postanowiono sprzedać psa w dobre ręce. Wybór padł na mnie. Starzy wiedzieli, że psy lubię, tylko chodziło o to, czy będę chciał wziąć Darusia, bo w leśniczówce był już piękny wilczur Basior. Misji wybadania gruntu i ewentualnej sprzedaży psa podjęła się Cesia, a ponieważ potrzebny mi był właśnie dobry pies na dziki, więc szybko pomysłnie sprawę załatwiła. Ta część planu była prosta, ja byłem kawalerem, Cesia uroczą blondynką, łatwo więc było przewidzieć, że pies zostanie sprzedany. Trudniej natomiast przyszło oddać wychowanka i tego rodzina nie przewidziała.

Gdy wysłuchałem do końca opowiadania Bukowskiego, zrozumiałem przyczynę koncertu, jaki urządziły obie panie i postanowiłem załatwić sprawę tak, ażeby wszyscy byli zadowoleni. Obiecałem solennie, że stworzę Darusiowi dobre warunki, a ponieważ mieszkam niedaleko, więc panie będą mogły odwiedzać swojego pupila. Po mojej obietnicy w domu zrobiło się weselej, a kiedy wpuszczono psa i ten przywitał mnie jak dobrego znajomego, a nawet polizał moją rękę, humory wyraźnie się poprawiły. Stwierdziłem z uśmiechem, że pies od razu poznał nowego pana i wcale nie jest tak groźny, jak o nim mówili, bo na moje wołanie podbiegł z radosnym przymilaniem.

Odsiedziałem jeszcze chwilę i już w zupełnie dobrym nastroju pożegnałem gospodarzy. Pies ociągał się trochę, ale w końcu spokojnie poszedł za mną do leśniczówki. Trochę byłem niespokojny, co na nowy nabytek powie mama, która prowadziła moje kawalerskie gospodarstwo, poza tym ciekawiło mnie, jak Basior przywita Darusia. Widocznie jednak Daruś miał szczęście, bo mamę bardzo ucieszył mój nowy nabytek, a Basior też był zadowolony z tego, że będzie miał towarzystwo. W pierwszej chwili co prawda psy szły do siebie na sztywnych nogach, obwąchiwały sobie dokładnie kudły, ale po chwili wesoło baraszkowały po podwórzu. Oba były młode i stęsknione psiego towarzystwa.

Jednak były to miłe złego początki. Szybko przekonałem się, że Bukowski mówił prawdę. Rano mama, która wcześniej wstała do swoich gospodarskich obowiązków, wypuściła obydwie psy na podwórze, a będąc zajęta nie zwracała na nie uwagi. Ja do późna

pracowałem nad dokumentacją leśnictwa, więc mocno spałem i nie słyszałem tego, co zaszło. Dopiero rozpaczliwe wołanie o pomoc i zajadłe ujadanie psów postawiły mnie na nogi. Wskoczyłem do okna i to, co zobaczyłem, chociaż było naprawdę groźne, wyglądało tak śmiesznie, że nie mogłem opanować ataku śmiechu, którego Franio długo nie mógł mi zapomnieć.

Zobaczyłem na niewielkiej śliwie rosnącej w rogu podwórza mojego gajowego Frania Sumarę, który rozpaczliwie fikał nogami. Śliwka była mizerna, nogi Frania akurat w zasięgu zębów Darusia, a nadmierne obciążenie groziło w każdej chwili złamaniem drzewka. Kiedy wyskoczyłem przez okno na ratunek Franiowi, był już najwyższy czas, bo Daruś właśnie rozprawiał się z drugim butem – jedna noga Frania była już bosa.

Poszkodowany rozpaczliwie gymnastykował się na giętkim drzewku, co na pewno niewiele by mu pomogło, bo spokojnie z boku ujadający Basior też włączył się właśnie do miłej zabawy. Nie wiadomo, jaki byłby koniec tej awantury, gdyby nie interwencja mamy, która zdążyła przede mną i przytomnie zapędziła psy do stodoły.

Ażeby zrozumieć, dlaczego opały, w jakich był Franio, tak mnie rozśmieszyły, trzeba wiedzieć, kim on był. Otóż był to znany w całej okolicy psiarczyk, który jeszcze przed wojną układał psy na dziki u hrabiego Stadnickiego w Nawojowej i z najgorszymi bestiami świetnie sobie radził. A tu teraz taka kompromitacja!

– Dobrze chociaż, że było to drzewko, bo ta kudłata bestyja byłaby mi jak nic portki potargała – słyszałem jak mówił do mamy, wkładając buty. A potem już do mnie: – Skąd u licha pan leśniczy wytrzasnął taką cholerną zołzę? Żeby się chociaż ludzie nie dowiedzieli, bo musiałbym chyba ze wsi uciekać – desperował zupełnie załamany. – Taki wstyd i żeby to chociaż był pies, ale to przecież jeszcze szczeniak; wyskoczył diabeł tak niespodziewanie, że zupełnie zgłupiałem.

Długo musiałem przemawiać, nim Franio dał się udobruchać. Na szczęście był naprawdę dobrym znawcą psów i pomimo wstydu, jaki przeżył przez Darusia, pies swoim atakiem bardzo mu zaimponował.

Ideałem Frania zawsze były psy bojowe, bo tylko takie, jak mówił, nadają się do układania na dziki. Basiora nigdy nie mógł mi darować i twierdził, nie bez racji, że wilka na dziki nie można ułożyć, bo chociaż będzie je targał, nie będzie szczekał, a to obok bojowości jest największą zaletą dzikarza. Dzikarz musi głosem oznajmiać, którędy ucieka zwierzyna i w ten sposób myśliwy jest informowany o aktualnej sytuacji. Wy tłumaczyłem mu, że Darusia kupiłem, licząc na jego pomoc w układaniu tego, jak mi się wydaje, doskonałego psa.

Po przygodzie Frania psy dostały oddzielne ogrodzenie i bardzo przestrzegaliśmy, ażeby w dzień nie było ich na podwórzu. Po jakimś czasie Daruś oswoił się z Franiem, a ten tak go polubił, że odszukał i odkupił jego rodzeństwo, Ledę i Reksia, od chłopca, gdzie pieski pędziły żywot łańcuchowych kundli. Tak powstała psiarnia składająca się z trzech młodych psów pochodzących z jednego gniazda, które postanowiliśmy ułożyć przy pomocy doskonałej Azy, od roku polującej z nami.

Kiedy Daruś skończył rok i wyrósł na dużego i pięknego psa, zaczęła się jego edu-

kacja i teraz dopiero Franio pokazał klasę, zupełnie już pogodzony z kudłaczem. Ciężka to była szkoła, psy musiały zrozumieć, że mogą interesować się tylko dzikami, a inna zwierzyna nie jest dla nich. Do tego u Frania obowiązywała żelazna dyscyplina i każda niesubordynacja była karana.

Wiele pracy i trudu włożyliśmy obydwaj w układanie psów, ale cała rodzina była wyjątkowo pojętna i po rocznej pracy oraz wielu przygodach dopięliśmy celu. Mieliśmy wspaniałą sfore, której przewodziła Aza z Darusiem.

Pamiętam polowanie, kiedy pierwszy raz usłyszałem głęboki bas Darusia. Było to w górach Żegiestowa, na południowym stoku Pustej Wielkiej. Daruś sam znalazł odyńca i wyprowadził go na strzał. Odyńca strzelił kolega, a pies otrzymał pierwszą w swoim życiu ranę, bo śmiertelnie ranny zwierz zdążył jeszcze dosyć głęboko przejechać szablą po jego szynce. Na szczęście rana nie była groźna i nie zepsuła Darusowi humoru. Długo nie mogliśmy go oderwać od odyńca, którego zapamiętałem tar mosił. Radość była ogólna, polowanie udane, pies pokazał co umie, a ja byłem dumny z tego, że mam wreszcie doskonałego psa, i to prawie przez siebie ułożonego.

Przez pięć lat polowałem z Darusiem. Zawsze był wiernym i dzielnym towarzyszem łowów, pomocnikiem wielu wypraw łowieckich i doskonałym psem obronnym. Miał już swoją historię, kilka razy był ranny, miał przygodę z borsukiem, która o mało nie skończyła się fatalnie, bo baraszkującego psa w młodniku zainteresował śpiący, nieznanzy zwierzak. Kiedy chciał go obwąchać, niespodziewanie wyrwany ze snu borsuk złapał Darusia za nos i porządnie go nadwerężył. Ten nieszczęsny nos stał się przyczyną wojny, jaką Daruś wypowiedział borsukom.

Właściwie tylko dziki i borsuki interesowały tego psa, obojętnie przechodził obok saren i jeleni, czasem zdenerwował go zając, ale po kilkunastu krokach zawsze zawracał. Zajadle oszczekiwał kuny i nie znosił kotów.

Zdarzenie, o którym teraz wspomnę, miało miejsce w zimie 1952 roku. Wracałem dość późnym popołudniem z Dubnego przez Kraczonik do domu. Pies buszował swoim zwyczajem w pobliskich zaroślach. W pewnym momencie usłyszałem jego basowy głos oznajmiający dzika. Miejsce było dogodne, więc szybko zdjąłem narty, żeby mi nie przeszkadzały i podjąłem próbę podchodzenia dzika przy psie. Tymczasem dzik ruszył w kierunku Leluchowa. Ten kierunek nie był bezpieczny, bo tam przebiegała granica państwa. Groziło to zapędzeniem dzika na Słowację, co z kolei wiązało się z utratą psa, tym bardziej, że miałem stare porachunki z sąsiadami zza Popradu, właśnie dotyczące psów. Znając dobrze teren, przeciąłem dzikowi drogę i znalazłem przesmyk nad Pasiecznym, przez który dzik musiał przechodzić. Wszystko szło zgodnie z moimi przewidywaniami i po chwili zobaczyłem dzika prowadzonego przez Darusia prosto na mój przesmyk. W dosyć niekorzystnej sytuacji, przy zapadającym zmroku, doszedłem do strzału na znaczną odległość. Kula złamała dzikowi prawą łopatkę, co jednak nie przeszkodziło mu zaszarżować na trzech biegach (nogach). Szarża odbyła się błyskawicznie, drugi strzał z obawy, ażeby nie trafić psa, oddałem nerwowo i niecelnie. W ostatniej chwili skoczyłem na marną olszynkę, która w każdej chwili groziła złamaniem, a dzik wbrew temu, co mówi

teoria, zawrócił i starał się mnie dostać. Nieoczekiwanie zrobiło się groźnie, bo olszynka trzeszczała pod moim ciężarem i nie wyglądało to wesoło. Pies najwyraźniej zrozumiał, że musi mi pomóc i chociaż dzik był trzy razy większy od niego, z furją przystąpił do ataku, odciągając samurę od mojej olszynki. Ta chwila wystarczyła na przeładowanie strzelby i oddanie decydującego strzału. Kto wie, czy śmiała interwencja Darusia nie uratowała mi życia, bo samura była duża (115 kg) i wyjątkowo agresywna.

Przeżycia łowieckie z Darusiem były pasmem niezapomnianych przygód i tylko ten je zrozumie, kto polował na dziki z dobrze ułożonymi psami. Dzisiaj ta tradycja zanika. Myśliwi stają się wygodni, do zwierzyny strzelają z ambon, bo chodzi im przede wszystkim o efekty, a nie o emocje łowieckie.

Pewnego sierpniowego ranka dano mi znać, że duży dzik zaległ pod Sosnową Górą. Miejsce było dogodne i położone blisko leśniczówki, więc szybko zorganizowałem polowanie i razem z kilkoma kolegami poszliśmy pod Sosnową Górę. Po drodze ustaliliśmy, że inż. Witowski rozprowadzi kolegów na stanowiska, po czym razem ze swoim Słowikiem wejdzie do miotu od góry, a ja na jego sygnał miałem ruszyć z Darusiem od dołu.

Zachodnia strona Góry Sosnowej, którą zamierzaliśmy opolować, była stroma i poprzecinana głębokimi potokami. Wiadomo nam było, że ruszony dzik będzie uciekał pod Szczerb, gdzie w płataninie jarów i gąszczy tarniny mógłby być zupełnie bezpieczny. Tę właśnie drogę do Szczerbu zamykały stanowiska myśliwych.

Wszystko szło zgodnie z planem, na sygnał inżyniera puściłem psa, który ochoczo poszedł w miot. Już po chwili usłyszeliśmy jego głęboki bas, któremu natychmiast zawtórował dosyć charakterystyczny oszczek Słowika. Psy były ze sobą zgrane i dzik znalazł się w nie lada opałach. Chwilę opierał się przy barłogu, ale szybko zrezygnował, bo gon psów wyraźnie prowadził pod Szczerb.

Pobiegłem na znane mi kąpielisko, licząc, że może dojdę do strzału. Tymczasem dzik zmylił goniące go psy i w miocie zrobiło się cicho. Stary odyniec umiał walczyć o swoją skórę i pewnie w tej chwili kombinował, jak rozegrać ten pojedynek na swoją korzyść.

Myślałem właśnie, co zrobić, kiedy nagle na wprost wykrotu, za którym stałem, lekko trzasnęła gałązka. Popatrzyłem w tym kierunku i w odległości około 45 kroków zobaczyłem kudłaty łeb odyńca. Gwizd (ryj) miał opuszczony w dół, stał spokojnie i nasłuchiwał. Nie miałem zamiaru strzelać do tego łba, bo strzał na sztych był niepewny, a mogłem doczekać się lepszej sytuacji, z czego zdawałem sobie sprawę. Na wszelki wypadek ostrożnie złożyłem się, żeby być w pogotowiu i sam nie wiem dlaczego, mając łeb dzika na muszce, nacisnąłem spust, chociaż dobrze wiedziałem, że tego nie należało robić. W gąszczy przede mną zakotłowało się, a po chwili usłyszałem obydwie psy prowadzące dzika na linię myśliwych. Widocznie odyniec silnie odcinał się psom, bo oszczekiwanie było zajadłe i słychać było odgłosy walki zwierza z psami.

W nie najlepszym nastroju czekałem, że za chwilę padnie strzał kończący polowanie. Tymczasem stary, doświadczony odyniec i tym razem wykołował swoich przeciwników, zmylił psy i jednym potężnym sussem przesadził dosyć wąską linię, tak że stojący na niej



myśliwy nawet nie zdążył się złożyć, a po chwili dzik już był bezpieczny w niedostępnych parowach Szczerbu.

Wiedziałem, że odyniec jest ranny, bo po moim strzale znalazłem trochę farby, a ponieważ psy poszły za nim pod Szczerb, sytuacja dla nich mogła być niebezpieczna.

Po krótkiej naradzie z inż. Witowskim, postanowiliśmy we dwóch podchodzić dzika pod Szczerbem, zachowując wszelkie możliwe środki ostrożności, utrzymując stałą łączność ze sobą. Tymczasem oszczekiwanie słyhać było w miejscu, gdzie, jak wiedzieliśmy, były gęste zarośla tarniny.

Zacząłem poważnie niepokoić się o psy, bo rozgrzane walką mogły za ostro nacierać, a tarnina była miejscem najmniej do tego odpowiednim. Ponieważ wcześniej od mojego towarzysza doszedłem do krzaków, gnany niepokojem o psy, pierwszy byłem świadkiem tego, co się stało. Daruś ośmielony moją obecnością, zanim zdążyłem temu przeszkodzić, zaatakował dzika w tarninie. Skutek był tragiczny i natychmiastowy. W gąszczu zakotłowało się, usłyszałem skowyt i po chwili zobaczyłem Darusia. Cały bok miał rozpruty, włókł się do mnie (...). Do mnie szedł w ostatniej chwili swojego życia, a ja w niczym już nie mogłem mu pomóc. Huk mojego strzału, który skrócił męczarnię Darusia, ruszył odyńca; wyskoczył na inż. Witowskiego tak, że został strzelony „spod pachy”, bo na normalny strzał nie było czasu.

Po godzinie koledzy znaleźli mnie przy zabitym Darusiu. Nie ma co ukrywać – płakałem tak, że nie mogłem się uspokoić. Pochowałem go tam, gdzie zginął, i zawsze kiedy jestem w Muszynie odwiedzam to fatalne miejsce, oddając się zadumie nad tym, co tu przeżyłem.

Wiele lat minęło od tego czasu, sporo psów przewinęło się przez moją leśniczówkę, ale Daruś był tylko jeden. Nigdy nie trafiłem na podobnie mądrego i wiernego czworonożnego przyjaciela.



Przed starą leśniczówką w Muszynie (pocztówka ca 1915 r., nakładem J. Getzler)